

Blank white label on the left edge of the book cover.





**Zakupione**

Ant.

Budżet

do

Miejscowej Biblioteki Publicznej

im. LUDWIKA WARYŃSKIEGO

w ŁODZI

205803 dn. 23.12.70

95

MKD

86

KSIAŻKA DZIECIĘCA



W ZBIORACH

MIEJSKIEJ BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ  
IM. L. WARYŃSKIEGO W ŁODZI

MOJE KSIĄŻECZKI

PRZYGODY  
ZOŚI WĘDROWNICZKI

opowiedział

Or-Ot

Z OBRÁZKAMI

BIBLIOTEKA

Szkoły Powszechnej

S. S. URSZULANEK

W LUBLINIE

WYDANIE DRUGIE

WARSZAWA  
NAKLÁDEM I DRUKIEM M. ARCTA

1908

BIBLIOTEKA  
S. S. Urszulanek  
I. T. D.

W LUBLINIE



528



T-4X

### Domek drwala.


W pięknej wiosce stała na samym skraju chatka ubogiego drwala, otoczona ogródkiem, pełnym nastureji, słoneczników i maków. Obok szumiał złocisty łąn zbożowy, a dalej nieco czerniał las odwieczny. A był on tak wielki, tak rozległy i tak niedostępny, że nikt nie znał jego głębi. Nawet drwał, z dziada pradziada uprawiający rzemiosło swoje, nigdy się nie zapuszczał w tajemnicze głębie czarnej puszczy.

— 4 —  
We wsi dziwy o tym borze gadano. W jesienne i zimowe wieczory, stare kobiety wiejskie opowiadały słuchającej uważnie młodzieży, skupionej koło nich, nieskończone baśni o dawnych mieszkańcach boru i o różnych strasznych historjach z ich życia. Słuchano pilnie, trochę im nawet wierzone, ale któż mógł odgadnąć ile było prawdy w tych opowiadaniach?

W tej tedy chatynce pod borem żyła rodzina drwala, złożona z ojca, matki i trojga dzieci. Najstarsza córeczka nazywała się Zosia, młodsza Mania, a malutki braciszek—Janek.

Wszystkie dzieci były dobre i posłuszne; rodzice mieli z nich prawdziwą pociechę.

Cała rodzina była bardzo praco-





wita: drwał, skoro świt, brał siekierę, worek z chlebem i serem, i szedł do lasu rąbać drzewo. Ileż trudu kosztowała go ta robota, jak ciężko musiał się napracować, machając ciężkim, ostrym toporem, by zwalić dąb potężny albo wyniosłą sosnę masztową! Nieraz pot gorący zalewał mu oczy, nieraz silna ręka słabła i opadała, ale dobry ojciec myślał o swej kochanej dźwigni, wtedy siły mu wracały i gorliwiej jeszcze zabierał się do pracy.

Tymczasem matka krzątała się w domu, w ogródku i w polu. Trzeba było ugotować strawę na obiad, zrobić porządek w chacie, wypleć grzędę w sadzie, zająć się zasiewami i zbiorami na maleńkim polu.

Obie dziewczynki chętnie poma-

gały matce, tylko mały Janek w niczym jeszcze nie mógł ulżyć rodzinie, gdyż miał cztery latka zaledwie.

W południe Zosia zanosila ojcowi obiad do lasu. Brała dwojaki w jedną rękę, kawał czarnego chleba w drugą i w podskokach, śpiewając wesoło, biegła znajomą dróżką. Dzieweczka musiała się śpieszyć, bo ojciec głodny i zmęczony oczekiwał na strawę, która go miała posilić. Z powrotem za to szła wolniej nieco i rozglądała się ciekawie naokół.

Wszystko ją zajmowało, a ileż to prześlicznych rzeczy spotykała w tych swoich podróżyach codziennych! Ptaki różnobarwne wyśpiewywały na prześcigi na wysokiej gałęzi lipy, gwizdała żółta wilga, szczygiełek z gardziółkiem czerwonym świergo-

tał na wyprzódki z zieloną sikorką, szpaki kłóciły się zawzięcie z czarnopiórym kosem, a niekiedy w powietrzu mięnęła kraska, mieniąca się na słońcu kolorami tęczy.

A żuczki, a muszki, a motyle wspinały! A kwiatki najrozmaitszych barw! Ach, Zosia chętnie spędzała by godziny całe w lesie, przyglądając się temu ruchliwemu światu! Lecz trzeba było wracać do domu, bo któżby pomógł matce zmywać statki, ktoby przyniósł wody ze źródelka i oskrobał ziemniaki na wieczere? Wszak to wszystko jest obowiązkiem Zosi, a dziewczynka umie spełniać swoją powinność.

Wieczorem, gdy ojciec powrócił z boru, cała rodzina zasiadała obok wielkiego kamienia i gwarzyła mile.

Potym razem odmawiano modlitwy wieczorne, i wszyscy po pracowicie spędzonym dniu udawali się na spoczynek i sen błogi spływał na rodziców i na dziatwę.

Tak przechodziły dni, tygodnie, miesiące, lata — cicho, spokojnie, w pracy i błogosławieństwie Bożym. Zdawało się, że całe życie upłynie podobnie, ale któż przewidzieć może, co go jutro czeka?

Posłuchajcie co się działo dalej w chatce drwala.

### Odwiedziny w chatce drwala.

Pewnego letniego wieczoru, drwal, powróciwszy z boru siedział z rodziną przed chatą, zażywając wieczornego chłodu. Gwiazdki srebrzyste wypływały już na szafirowe nie-

bo i złoty księżyc ślizgał się po modrej toni, jak łódź promienna. Z łąk i pól szły rozkoszne wonie. Koniki polne rozpoczęły zwykły swój koncert, a orkiestra żab na stawie poblizkim przygrywała mu do wtóru.

Rodzina cała zapatrzyła się i zasłuchiwała w odgłosy wsi i lasu. Było im tak przyjemnie i tak dobrze w ten piękny wieczór letni, zebranych razem u progu ubogiej chaty, jak innym nie bywa nawet w pałacach złocistych.

Nagle kruczek, wierne, czujne i sprytne psisko, rzucił się ku wrotom i gwałtownie ujadać zaczął. Drwal podniósł się z przyźby i poszedł za nim.

Przed wrotami stała staruszka, okryta łachmanami, w ręce trzyma-

ła kosztur sękaty, którym oganiała się przed psem.

—A czego to chcecie, matko? — zapytał drwal uprzejmie!—Może jesteście zmęczeni i głodni, to wstąpcie i spocznijcie; znajdzie się dla was kęs chleba i kubek mleka.

— Tego właśnie pragnę! tego, pocziwy człecze—odpowiedziała stara chrapliwym, niemiłym głosem.—Cały dzień wlokę się oto, a nikt mi dotychczas ani łyżki strawy udzielić nie chciał. Oj, źli są ludzie na świecie! źli!

— Nie wszyscy, nie wszyscy, matko—odrzeknie drwal.—Ale co tu mówić jeszcze, kiedyście głodni i zmęczeni! Chodźcie do chaty.

Wszyscy weszli do izby. Staruszka usiadła w kącie, jakby pragnęła



uniknąć spojrzeń goszczącej ją rodziny.

Drwalowa postawiła przed nią chleb, mleko i ziemniaki, a gdy po-dróżna posiliła się należycie, spytała ją:

— A skąd to idziecie, matko?

— Skąd idę?—powtórzyła z dziwnym uśmiechem. — Skąd idę? Ani-byście uwierzyli, skąd ja idę: z uroczyska w głębi puszczy!

— Co, z uroczyska? — krzyknął zdumiony drwal. — Czyż to być może? Toć tam podobno mieszka mnóstwo złych duchów, co czyhają na życie i dusze śmiazków, którzy pragną zbadać tajemnice czarnej puszczy?!

— Kłamstwo to wszystko, kłamstwo, wymysł ludzki i nic więcej — zawołała stara. — Przeszłam bór ca-



ły wszereż i wzdłuż, a nie mnie złe-  
go nie spotkało; nie widziałam też  
żadnych czarownic, ani złych du-  
chów, zato widziałam inne rzeczy,  
a takie piękne, że język ludzki z tru-  
dem opisać je może. Cuda powia-  
dam wam! cuda!

— Jeżeli chcecie opowiem wam, co  
w puszczy zobaczyć można.

— Mówcie, matko, mówcie — zawoła-  
li wszyscy, a stara tak prawić zaczęła.

### Opowiadanie o zaklętym lesie.

Kiedym weszła w bór szumiący  
Boczną scieżką, wązką dróżką  
Wyskoczyła rusałeczka.  
Plasająca lekką nóżką.  
I kiwnęła rączką białą,  
Uśmiechnęła mi się mile,  
Więc szłam za nią, a przed nami  
Mknęły cudne dwa motyle.

A w tym piosnka zadźwięczała,  
Jak anielski śpiew w błękitcie  
I leciała w leśnej ciszy  
Po traw miękkich aksamicie.

Idę, patrzę, skąd te dźwięki  
Melodyjne, czarujące?  
A to liśćmi złocistymi  
Szumi drzewo śpiewające!

Każdy listek się porusza  
I szeleści, i przygrywa,  
Całe drzewo na pagórku,  
Jak orkiestra dzwoni żywa.

Idę dalej zadziwiona —  
Aż tu źródło srebrne płynie!  
W nim swawolą złote rybki  
Na błękitnej, na głębinie.

Kto odważny niech tam idzie,  
Czy to stary, czy to młody,  
Niech uzyska życie, zdrowie  
W cudnym źródle żywej wody!

Kto się dotknie modrej fali,  
Kto się skąpie w wodzie owej,  
Będzie wiecznie żył szczęśliwy,  
Zawsze piękny, zawsze młody.

Potym wielka jest jaskinia,  
W niej pieniędzy pełne wory,  
Ani zbójców nigdzie niema,  
Ani strzegą jej potwory.

Worek sam się wnet roztworzy,  
Gdy wyciągniesz jeno dłonie;  
Obok z wozem posrebrzonym  
Stoją zawsze dzielne konie.

One złoto ci odwiozą  
I popędzą w lot z kopyta,  
Gdzie na górze kryształowej  
Stoi wieża, w niebo wzbita.

W tej wieżycy jest królewicz,  
Co w zaklęciu śpi od wieka —  
Dzień po dzionku, rok po roku  
Wybawienia ciągle czeka.

Kto wybawi królewicza,  
Ten królestwa pół dostanie;  
A to wcale rzecz nie trudna:  
Dać mu jedno całowanie!

Wtedy zbudzi się królewicz,  
Bór zaklęty w gród się zmieni.  
Gdy go dziewczę odczaruje—  
To się księżę z nią ożeni.

\* \* \*

Skończyła staruszka opowiadanie swoje; wszyscy słuchali zdumieni i zachwyceni, tylko drwal spoglądał nieufnie na starą i kiwał głową.

— Dlaczegoż to—zapytał wreszcie—samiście, matko, nie odczarowali królewicza, kiedy to rzecz taka łatwa?

— Dlaczego, dlaczego?—mruknęła stara.—Toć przecie bardzo jasne! Królewicza odczarować może tylko

dziewczynka mała, ot taka, jak wasza starsza naprzykład; taki tam jest warunek.

Tu opowiadająca spojrzała na Zosię dziwnie przenikliwie i pokazała w uśmiechu ząb żółty i krzywy.

— No, a czemużecie choć krzywą tego złota nie wzięli? Przydałoby się wam z pewnością.

— A właśnie widzicie, że nie! Ślubowałam ubóstwo — odrzekła stara.—Co mi tam po dukatach! Byle kawałek chleba, byle wody trochę, to mi dosyć.

— Ale — dodała, wstając — pora już na mnie. Posiliłam się z łaski waszej uczciwie, muszę iść dalej, rozpowiadać ludziom o nieszczęśliwym królewiczu: może się kto nad nim zlituje.

Wstała, podziękowała wszystkim raz jeszcze i wyszła; od progu odwróciła się jednak jeszcze i rzekła do Zosi:

— Dziewczynko! Pamiętaj o tym, com mówiła, a gdyby ci przyszła ochota dowiedzieć się, co się dzieje w lesie, to idź prosto do rozstajnych dróg, a potem trzymaj się lewej ścieżki. Nie pożałujesz tego!

I poszła stara. Drwal, drwalowa i dzieci położyli się spać. Wszyscy usnęli rychło, tylko jedna Zosia zasnąć jakoś nie mogła. Ciągłe myślała o cudach, które widziała stara żebraczka i w duszy jej zbudziło się gorące pragnienie zobaczenia ich. Nareszcie nad samym ranem usnęła; ale wciąż jej się śniło śpiewające drzewo o złotych list-

kach, srebrne źródło żywej wody jaskinia pełna dukatów i królewicz zaklęty.

Kiedy się zbudziła, myśli te nie opuszczały jej, przeciwnie trapiły przez dzień cały jej małą główkę.

Wreszcie Zosia postanowiła opuścić dom rodzicielski i iść na poszukiwanie przygód. Następnego ranka chciała się wybrać w drogę.

Zosia w chacie czarownicy Paliwody.

Jeszcze słońeczko nie wyjrzało na niebo, kiedy już Zosia zerwała się ze swego łóżeczka. Prędko zmówiła paciorek, ale nie tak pobożnie i szczerze, jak zazwyczaj. Nic dziwnego! Pierwszy raz w życiu popełniała grzech wielki: opuścić miała samowolnie domek rodzinny, i miała

przyczynić wielkie zmartwienie ojcu i matce.

Dziewczynka ubrała się szybko, wzięła na drogę kawał chleba, ucałowała śpiących rodziców i rodzeństwo, a potem cicho, jak myszka, wysunęła się z chaty.

Przykro jej się zrobiło i żałośnie jakoś, kiedy już za progiem domku stanęła. Ale widać aniołek stróż odbiegł dziewczynkę, bo po krótkiej chwilce namysłu, nie oglądając się, pędem puściła się w stronę lasu.

Gdy weszła na drogę leśną, różowa jutrzienka oświeciła właśnie ziemię. Ślicznie było na świecie. Ptaszki świegotały radośnie, żuczki i muszki brzęczały tak ochoczo, kwiatki siały zapachy słodkie. Weseliło się



M. B.  
In.  
W  
K  
wszystko dokoła; tylko w serduszku  
Zosi ciemno było i smutno. Pocie-  
szała się wprawdzie, że wróci rychło  
i skarby dla rodziców i rodzeństwa  
przyniesie, ale to ją nie uspokajało:  
czuła że źle robi, że nie powinna była  
opuszczać rodzinnej chaty.

Tymczasem ptaszki spotykane po  
drodze śpiewały, a przynajmniej Zosi  
zdawało się, że śpiewają taką pio-  
senkę:

5290 mkn

Wróc się, wróc się, Zosiu mała,  
Będzie mama twa płakała,  
I siostrzyczka i twój brat!  
W twojej rodzinnej chatce małej,  
Takiej cichej, takiej białej  
Najpiękniejszy dla cię świat.

Tam w gęstwinie, w czarnym borze  
Czarownica czyha może

Co cię, Zosiu, pożreć chce.  
Albo dziki zwierz wyskoczy,  
Pazurami w krwi się zboczy  
I rozedrze ciało twe.

Źle, kto mamy swej nie słuca.  
Czy ci anioł nic do ucha  
Dziś nie szeptał? Powiedz, co?  
Czy ty nie wiesz, Zosiu miła,  
Żeś niegodnie postąpiła,  
Że dziewczynką jesteś złą?

Jeszcze Bóg ukarze ciebie,  
Bo On wszystko widzi w niebie  
I myśl każdą twoją zna.  
Może już nie wrócisz z kniei,  
Sen ci wieczny oczy skleci,  
A cóż pocznie mama twa?

Jak żałośnie płakać będzie,  
Jak cię szukać będzie, wszędzie,  
Ej! zły zamiar Zosiu rzuć!  
Gdzie gołąbki twe i kwiatki,  
Do rodziców, do swej chatki  
Wróc, Zosieńko! wróc się, wróc!

Taką piosenkę słyszała Zosia w świegotaniu ptaszków, ale nie wróciła się jednak; przeciwnie, przyśpieszyła kroku, by jaknajprędzej dojść do dróg rozstajnych. Gdy je wreszcie ujrzała; nadeszło południe, weszła na ścieżkę lewą, usiadła pod wierzbą przydrożną, wyjęła zabrany z chaty kawałek chleba i posiliwszy się nieco, udała się w dalszą podróż.

Choć wielkie drzewa zasłaniały od palących promieni słońca, gorąco w lesie było nieznośnie. Zosia zmęczyła się bardzo, ale pomimo to nie ustawała, gdyż chciała jaknajprędzej zobaczyć drzewo śpiewające. Tymczasem zbliżał się wieczór, słońce zachodziło zwolna, malując czerwienią i złotem wierzchołki drzew.

Nagle w świetle zachodzącej zo-

rzy Zosia ujrzała domek jakiś dziwny. Stał on na kurzych łapkach i poruszał się ustawicznie. Na dachu siedziała zgraja wron, kruków i kawek; ogromna sowa przechadzała się poważnie przed drzwiami, a czarny kot z zielonemi iskrzącymi ślepiami wyglądał przez maleńkie okienko.

Ledwo Zosia zbliżyła się do domku, wszczęła się przeraźliwa wrzawa: kruki, kawki i wrony zaczęły drzeć się w niebogłose, sowa, machając skrzydłami; śmiała się do rozpuku, a czarny kot miauczał przeraźliwie.)

Na ten hałas wyjrzała z okienka jakaś głowa i Zosia poznała tę samą staruszkę, która jej o cudach lasu zakłętego opowiadała.

— A! to ty? — zawołała stara. — Wiedziałam, że przyjdiesz! Dobrześ zrobiła. Pokażę ci wszystkie dziwy tej puszczy. Cha! cha! cha!

I roześmiała się tak jakoś strasznie, że biedną Zosię aż ciarki przeszły po skórze.

— Proszę pani—szepnęła nieśmiało — może mi pani powie, którą mam iść do śpiewającego drzewa?

— Do śpiewającego drzewa? cha! cha! cha! do śpiewającego drzewa? — zaśmiała się znowu stara. — Czeka! czekaj, kochanko! Niech ci się tak nie śpieszy. Chodź naprzód do mnie! Spocznij!

Dziewczynka rada nie rada weszła do izby. Aż w tym stała się rzecz niespodziewana: właścicielka chaty porwała ją w kościste swoje ręce,

zakończone pazurami jak u rysia, i wepchnęła ją do komórki, śmiejąc się strasznie. Śmiechowi temu towarzyszyły wrzaski ptaków, siedzących na dachu i miauczenie kota.

Biedna Zosia nie wiedziała w pierwszej chwili co się z nią stało. Kiedy wreszcie przyszła do siebie, poczęła się rozglądać po komórcie, gdzie ją zamknęto.

Była to niewielka izdebka, której połowę zajmował ogromny piec. Gdy go Zosia spostrzegła, zaraz jej przyszła na myśl czarownica, zjadająca dzieci. Przełękła się niezmiernie biedaczka i rozmyślać zaczęła, jakby się stąd wydostać. Nie było jednak żadnego sposobu!

Tak przeszła godzina. Zosia ża-łowała gorzko że opuściła spokojny



domek rodziców, ale na to nie było już rady. Nagle otworzyły się drzwi i do komórki weszła stara z latarką w ręku w towarzystwie kota i sowy.

Usiadła na zydlu, naprzeciwko Zosi, wpatrywała się w nią straszliwymi oczami, w końcu rzekła:

—Poznałaś mnie, ale nie wiesz jeszcze, kto ja jestem. Jestem czarownica Paliwoda!

Zosia zadrżała ze strachu, a czarownica ciągnęła dalej.

—Widywałam cię nieraz z ukrycia, gdyś szła przez bór, niosąc obiad dla ojca. Podobałaś mi się boś tłusciutka i pulchniutka, jak pączek. Naumyślnie przyszłam do waszej chaty i naumyślnie opowiadałam zmyślane baśnie o lesie zaklętym. Niema tu nigdzie ani drzewa śpie-



wającego, ani żywego źródła, ani jaskini z dukatami, ani królewicza w zamku na skale. Nie myślałam jednak, że uwierzysz temu i przyjdiesz! Teraz spotka cię za to kara. Zjem cię, jak tyle innych dzieci niepocziwych. Patrz! Oto upiekę cię w tym piecu. To mi będzie dopiero pieczeń! cha! cha! cha!

I czarownica pokazała swój długi, żółty, zakrzywiony ząb.

Zosia przerażona i zapłakana upadła do nóg wiedźmy. Napróżno jednak błagała ją, napróżno całowała jej haczykowate ręce. Czarownica była nieubłagana.

— Zjem cię! zjem! — powtarzała ciągle. — Zbyt smacznym jesteś kąskiem, bym się cię dobrowolnie pozbawiać miała. Jedno ci tylko

uczynić mogę: daruję ci noc dzisiejszą! Ale jutro rano pójdiesz do pieca!

To wyrzekszy, wstała, zabrała swą latarkę i wyszła wraz z sową i kotem, zostawiając nieszczęśliwą Zosię w najokropniejszej rozpacz.

— Mamo! mamusiu! przyjdź! ratuj mnie!—wołała dziewczynka, płacząc rzewnie. — Tatusiu! zlituj się nade mną! Maniu! Janku! Gdzie jesteście? Dlaczego zapomnieliście o swej biednej Zosi?

Zosia z wielkiego żalu nie pomyślała o tym, że nie oni zapomnieli o córeczce i siostrzyczce, ale ona o nich.

Wreszcie dziewczynka spostrzegła, że krzyk i płacz nic jej nie pomaga; uspokoiła się więc nieco i przez

okienko spojrzała na pogodne, gwiaździste niebo.

— Tam w górze — rzekła do siebie — dobry Bóg widzi strapienie moje. On jeden może mi dopomóc, więc udam się do Niego.

Uklęła i modliła się żarliwie, gorąco. Przymykała w tej modlitwie, że będzie zawsze dobrą i posłuszną, że nic bez wiedzy rodziców nie zrobi.

Pomodliwszy się serdecznie, uspokojona nieco, położyła się na garści zbutwiałej słomy i usnęła.

### Anioł stróż.

Gdy tak Zosia cicho spała,  
Spłynął z nieba anioł biały;  
Miał srebrzyste wielkie skrzydła  
I liljowy wianek mały.

Nad Zosieńką stanął senna,  
Złotą główkę dotknął dłonią  
I zbudziła się dziewczynka:  
Czy sam Pan Bóg przyszedł po nią?

Nie, Zosieńko, jam twój anioł,  
Ja cię strzegę w każdej dobie,  
Bóg mnie tutaj przysłał z nieba,  
Bym w nieszczęściu pomógł tobie.

Czarownica śpi w tej izbie  
Spia jej kruki, kawki, wrony,  
Noc spokojna, księżyc jasny,  
Uchodź, Zosiu, w inne strony.

Ja cię z chaty wyprowadzę,  
Będę czuwał wciąż nad tobą,  
Lecz ty, dziecko, bądź uważna,  
I w podróży kieruj sobą.

Może jeszcze spotka ciebie  
Zła przygoda w tej gęstwinie,  
Ale pomnij! z wiarą w Boga  
Nikt nie zginął i nie zginie!

On usłyszał twe pacierze  
Widział twoje lzy gorące!  
Wróć do chatki i miej zawsze  
Serce dobre, kochające.

Trzeba słuchać swych rodziców,  
Być siostrzyczką jak należy,  
Bez uczynków, widzisz Zosiu,  
Nic jest nie wart szmer pacierzy.

Tak do Zosi mówi anioł.  
Ona słucha rozplakana,  
Na niebiosa wznosi oczy  
I upada na kolana.

I dziękuje duszą całą  
Za opiekę Panu Bogu —  
Otworzyła drzwi komórki  
I na chaty staje progu.

Noc gwiazdzista, księżycowa,  
Taka jasna, taka cicha,  
Tylko drzewa zlekka szumią  
Tylko fala stawu wzdycha.

Anioł Zosię dotknął dłonią  
I przeżegnał jasną głowę,  
I na skrzydłach swych srebrzystych  
Frunął w niebo lazurowe.

### Zosia spotyka krasnoludka Migdałka.

Ledwo anioł uleciał w błękity, Zosia puściła się jak tylko mogła najprędzej w głąb lasu.

Tak strasznie obawiała się czarownicy, że stokroć wolałaby się była spotkać z wilkiem, a chciałaby z niedźwiedziem, niż być w mocy okrutnej Paliwody. Posuwała się szybko naprzód i przypominała sobie ciągle, co jej mówił anioł o opiece Bożej.

Pomału gasły gwiazdy, robiło się wciąż jaśniej i jaśniej — nadchodził świt.

Idzie sobie Zosia, rozglądając się

dokoła, gdy wtym spostrzega ma-  
leńskiego, daleko mniejszego od siebie  
człowieczka.

Człowieczek ów miał długą po pas  
siwą brodę, ubrany był w żółtą  
odzież, na głowie miał kapturek,  
a w ręku trzymał kilof, narzędzie  
do rozbijania kamieni.

Zosia nie przełękała się wcale ka-  
rzełka, bo miał bardzo poczciwą mi-  
nę; podeszła do niego i rzekła:

— Nazywam się Zosia, uciekłam  
od czarownicy Paliwody. Mój dro-  
gi panie karzełku! Niech mi pan  
powie, którądy mam wyjść z lasu?

— Jestem krasnoludek Migdałek—  
odpowiedział grzecznie mały czło-  
wieczek. — Chętniebym ci się przy-  
służył, moja panno Zosiu, ale sam

nie znam drogi do twego domu, bom nigdy z tego lasu nie wychodził.

Zmartwiła się Zosia, że nie może się dowiedzieć od krasnoludka o drodze, ale pytała go dalej:

— A czyby pan Migdałek nie mógł mnie poczęstować choć kawałkiem chleba? Od wczorajnie w ustach nie miałam.

— O, co to, to i owszem — zawołał Migdałek. — Niech panienka pozwoli do naszej groty. Tam się z pewnością znajdzie śniadanie.

— A czy nie przeszkodzę pańskim towarzyszom, bo pewno pan nie sam mieszka?

— Rozumie się, że nie sam; jest nas bardzo wielu. Mamy kopalnię żelaza i węgla. Lecz niech się panienka nie obawia, że przeszkodzi



moim towarzyszom; przeciwnie, ucieszą się oni bardzo z poznania tak dostojnej i wielkiej osoby.

Zosia uradowała się, że ją krasnoludek wielką osobą nazywa. Istotnie była od niego większą o połowę.

Nie myśląc wiele, udała się pośpiesznie za karzełkiem.

Szli dość długo wąską ścieżynką, wśród kolczastych krzaków, aż wreszcie Migdałek rozsunał wielki krzak głogu, za którym ukazało się wejście do jaskini.

Zosia bała się trochę wejść do ciemnego otworu, ale zachęcało ją poczciwe spojrzenie krasnoludka. Zawstydzila się swej nieufności i weszła.

Po kilkunastu krokach znalazła się w ogromnej jaskini. Dokoła niej

pracowało mnóstwo karzełek w jaskrawych, kolorowych ubiorach. Jeden miał czerwoną, drugi zieloną, trzeci niebieską suknię. Wszyscy z wielkim rozmachem walili kilofami w twarde ściany jaskini, wydobywając żelazo i węgiel.

Kiedy spostrzegli Migdałka, z Zosią, zbiegli się zaraz i ciekawie przypatrywali się dziewczynce.

— To jest panna Zosia, która uciekła z chaty czarownicy Paliwody. Prosiła mnie o kawałek chleba, ale wołałem ją przyprowadzić do nas na śniadanie!

— Doskonale zrobiłeś, Migdałku! Wdzięczni ci jesteśmy za to — zawałyły churem karzełki, i zaraz kilku z nich krzątać się zaczęło około śniadania.

Wnet nakryto stolik długi, ale ni-  
ziutki, zastawiono go talerzykami,  
niewiele większemi od talerzyków  
dla lalek i zaczęto znosić potrawy.  
Zosia zasiadła pomiędzy Migdałkiem  
a bardzo małym krasnoludkiem, Zy-  
gzaczkiem i cały czas rozmawiała na-  
der przyjemnie.

— Słyszałam zawsze — mówiła —  
że karzelki kopią złoto i drogie ka-  
mienię. Dziwi mnie to niezmiernie,  
że wy zajmujecie się wydobywaniem  
zwyczajnego węgla i żelaza.

— Moja panienko kochana — od-  
powiedział Migdałek — węgiel i żela-  
zo nie tylko nie są mniej, ale dale-  
ko więcej warte od złota i drogich  
kamieni. Pomyśl tylko, na coby  
się ludziom przydało złoto, gdyby  
nie mieli żelaza? Z czegooby zro-

biono narzędzia rolnicze, naczynia kuchenne, noże, widelce, kosy, sierpy i tak dalej. Gdybyśmy zaś nie dobywali węgla, to bardzo rychło wyciętoby wszystkie lasy na ziemi. Gdziebyśmy się wtedy podzieli?

Tak rozmawiała Zosia z sąsiadami swemi, a gdy zjadła śniadanie, karzełki podziękowały jej za zaszczyt, jaki im uczyniła, odwiedzając ich grote, — ona im wzajemnie dziękowała za gościnność i wreszcie wszyscy wyprowadzili ją na powierzchnię ziemi. Tam dziewczynka pożegnała się z krasnoludkami, a oni na odchodnym zaśpiewali jej taką piosenkę:

Walże młotkiem, tęgo wal!  
Niechaj iskry puszcza stal!

Nie żałujmy dłoni!  
W głębi ziemi, gdzie wciąż mrok,  
Kieruj śmiało dzielny krok  
Niech twój kilof dzwoni!

Krasnoludków barwna ćma,  
Swoją wartość także ma!  
Choć my tacy mali  
Z czoła cieknie znojny pot,  
Ale krzepko ciężki młot  
W twardą skałę wali.

Małym, lichym nie gardź, nie!  
On pracować również chce.  
Trud mu życie skraca,  
Jednak będziem mimo to  
Kochać zawsze pracę swą:  
Niechaj żyje praca!

Zosia wysłuchała piosenki, zawo-  
łała razem z krasnoludkami: niechaj  
żyje praca! i poszła dalej swoją drogą.  
Smutno jej było i samotnie; nie

wiedziała, jak się wydostać z boru,  
a bór był taki wielki i straszny!

Łzy puściły się z oczu naszej wędrowniczki, położyła się na trawie,  
rosząc ją rześnistymi łzami.

Nagle poczuła, że ktoś dotknął leciutko jej ramienia, obejrzała się i spostrzegła prześliczną maleńką postać.

### Zosia poznaje wróżkę Czarujduszkę i powraca do domu.

Na dwa cale ledwo duża  
Goła rączka, bosa nóżka:  
To królewna kwiatów była,  
Śliczna wróżka, Czarujduszka!

Modry dzwonek na jej główce  
Tak się mieni, jak korona,  
Zamiast berła — konwalijkę  
W drobnej dłoni trzyma ona.



— Czego płaczesz, panienczko?  
Zapytała biednej Zosi.  
Zosia wszystko opowiada  
I o pomoc wróżki prosi.

Śliczna wróżka Czarujduszka  
Wskazać drogę obiecała,  
Bo serduszko ma litosne  
Ta królowa kwiatów mała.

— Tylko Zosiu — rzekła do niej:  
Ja mam przedtym pracę jeszcze;  
Muszę dobrze skropić kwiatki:  
Nie padały dawno deszcze!

Nad kwiatkami, które w cieniu  
Rzadko widzą promień słońca,  
Wnet gałązki porozsuwam,  
Jako pani kochająca.

Niech i one trochę światła,  
Niech też mają trochę ciepła.  
W czoraj jedna konwalijka  
Z braku blasku zwiędła, skrzepła.



Gdy robotę spełnię swoją,  
Na kraj lasu cię wywiodeę;  
Idź do drogiej swojej mamy,  
I pamiętaj mnie w nagrodę.

Kilka godzin jeszcze chodziła Zosia z wróżką Czarujduszką po lesie. Przyjrzała się też różnym kwiateczkom i pomagała ślicznej wróżce.

Wreszcie skończyła się praca królowej kwiatów i wkrótce potym Zosia stanęła na skraju lasu.

Boże miły! Czy to sen, czy rzeczywistość?

Przed nią kościółek wiejski, chaty znajomych i sąsiadów, a tuż, tuż, bliźutko swój kochany, bielutki domeczek!

Pędem przebiegła Zosia dzielącą ją od niego drogę, otworzyła drzwi

narozcież i za chwilę rzuciła się w objęcia matki.

Jakże ścisłała i całowała drogich swoich rodziców! jak przepraszała ich! jak pieściła się z rodzeństwem!

Od tego czasu była zawsze posłuszną córką i nigdy jej przez myśl nie przeszło szukać jakichś nadzwyczajnych przygód.



## SPIS RZECZY.

---

	Str.
I. Domek drwala . . . . .	3
II. Odwiedziny w chatce drwala . . . . .	8
III. Opowiadanie o zaklętym lesie . . . . .	13
IV. Zosia w chacie czarownicy Paliwody . . . . .	19
V. Anioł stróż . . . . .	31
VI. Zosia spotyka krasnoludka Migdałka . . . . .	34
II. Zosia poznaje wróżkę Czarujduszkę i powraca do domu . . . . .	42

Yairint <sup>beginning</sup> the  
flating Biedmyke

5290 MKD

=====  
KSIĘGARNIA  
~~~~~  
=====  
ANTYKWARIAT  
~~~~~  
=====



.....  
E \* 047070  
.....

